ROZMAITOŚCI.

Dnia 27. lipca, N^er^ 30. roku 1844.

Pan Krzysztof.

(Ciąg dalszy.)

Rzeczy publicze tymczasem coraz gorszą przybierały postać. Nieprzyjaciel rozchodził się po kraju, uzuchwalona konfederacyja przepisywała prawa, wywracała ledwie ustanowiony porządek, kazała do siebie przystępować, wykonywać sobie przysięgę, niedawno i chętnie zaprzysiężonym obowiązkom przeciwną. Kto tylko mógł, uchodził za granicę lub do Galicyi, aby się od przymusu i prześladowań usunąć. Grożono zagrabieniem majątków; ta groźba nie zatrzymywała. Mnie dosiadywać i wpaść w ręce nieprzyjacielskie, nie było bezpieczno, i cześnik się też do Galicyi wybierał. Łowczanka tylko, niechcąc swoich nawyknień i wygód odstąpić, była wyjazdowi przeciwną. — »Powinnabyś,« mówiła raz do cześnikówny, gdy ojca w pokoju nie było, »uprosić ojca, aby został w domu. Cóż znowu tak strasznego to przystąpienie do konfederacyi, aby dla tego cały majątek narażać? Z czegoż potém żyć będziecie? Gdzie nie można przeskoczyć, trzeba podleźć.« — Gdy to mówi, kłębek jedwabiu którym haftowała cześnikówna, wysuwa się jéj z rąk i toczy po podłodze. Poskoczyłem aby go jéj podać, ale podając chwyciłem za rękę i ścisnąłem ją gorąco. Nie spieszyła się z wyrwaniem mi ręki, a patrząc mi w oczy, niby w odpowiedź na słowa łowczanki, przemówiła: »Ja zależę od mego ojca; co on uzna za dobre, to i ja dobrém znajdę.«

Gdym odchodził wieczorem do siebie, cześnik mnie odprowadził, a odesławszy pachołka, powiedział, że za parę dni wyjéżdża do Lwowa, i mnie jeszcze wcześniéj wyjechać wypada. — »Przy pierwszém poznaniu córki mojéj,« były słowa jego, »uważałem że ci wpadła w oko. Dobre dziecko, i niebo nie odmówiło jéj krasy. Nie dziwuję się żeć się podobała, a dostrzegłem od niedawna, żeś i ty jéj się podobał. Jesteś szlachcic, masz zdolności i naukę, służyłeś dobrze ojczyźnie; mniejsza o to żeś ubogi. Jeżeli mój majątek ocaleje, będziecie mieli z czego wyżyć oboje. Dziś jednak muszę ten majątek zdać na wolę bożą, albo zostać krzywoprzysięzcą. Tu niema wyboru. Chleb więc jak dla mnie na starość, tak i dla was niepewny, a wy przytém jeszcze za krótko się znacie. Tobie grozi większe niebezpieczeństwo, gdybyś został schwytanym; ostrożność i przyzwoitość nie pozwalają nam jechać razem. Uprzedź więc nasz wyjazd do Lwowa, zaraz jutro. My przyjedziemy za tobą. Będziemy razem, będziemy czekać i uważać jaki obrót wezmą rzeczy publiczne, i przytém sobie nawzajem się przypatrywać. Jeźli będziemy mogli do mojego chleba powrócić, i jeźli będzie wolą bożą abyście się połączyli, ja wam błogosławieństwa mojego nie odmówię.«

Lwów dawniéj nie taki był jak dziś. Ludne ale nie wielkie miasteczko, ścieśnione obwodem nizkich wałów i fos nie głębokich, w których jednéj stronie Pełtew ślizła. Dwie bramy i dwie fórty dla pieszych, prowadziły do miasta. Ulice w mieście przestronne, proste, rynek rozległy, znać że przy ich zakładaniu przewodniczył gust i porządek, ale ulice zacieśniały mury cmentarzów przy wielu kościołach. Kościoły okazałe, klasztory obszérne, domy przystojne o dwóch i trzech piętrach, stawione z trwałéj cegły, niektóre z kamienia. Ku zachodowi plac wielki, zwany nizkim zamkiem,

otoczony małemi drewnianemi domkami. Na środku stał kościołek, wieża na winowajców i murowany dom starościński o piętrze. Przedmieścia w około miasta leżały nizko. Krakowskie zamieszkałe przez Żydów, ciasno zabudowane z drzewa. Na innych przedmieściach wznosiły się kościoły i klasztory murowane, niektóre z osobna obwarowane, ale murowanych domów prywatnych, prócz pałacu książąt Jabłonowskich nie było. Drewniane domki rozrzucone były z rzadka, pomiędzy niemi place puste, na nich małe stawki i oparzeliska, na których nie raz dzikie kaczki strzélano. Na jednéj górze nad miastem stérczały zwaliska kazimierzowskiego zamku, na drugiéj niedawnemi czasy, w miejscu małego bazylijańskiego klasztorka, wzniósł był katedrę ruską metropolita Szeptycki.

Odkąd Lwów został stolicą królestwa, zaczął się szybko podnosić. Cmentarze z miasta usuniono, bruk w mieście się poprawił i na niektóre przedmieścia rozciągnął. Wały zasadzono drzewami do przechadzki. Na przedmieściach murowane domy powstawały. Krakowskie pożar kilkodniowy, niepodobny do ugaszenia, w perzynę obrócił, na której także powoli murować zaczęto. Niemcy pozakładali na przedmieściach ładne ogródki. Z nich jeden, Preschel, sprowadziwszy grube i białe szparagi, talerz po czerw. złotym przedawał. Dawniéj panowie mieszkiwali zimą albo w czasie urzędowania w Warszawie, resztę czasu na wsiach; mieli w Warszawie pałace, na wsiach zamki i dwory. Lwów, tylko przypadkowie i na krótko odwidzany, nie miał wiele mieszkań pańskich. Nowe tego miasta przeznaczenie ściągało doń wielu majętnych. Musieli na szczupłych przestawać mieszkaniach, ale żyli zbytkownie. Ze zbytkami wcisnęły się do Lwowa i obyczaje stołeczne. Wy młodsi nie macie wyobrażenia o tém wersalskiém zepsuciu, i oby wnukowie wasi go nie znali!

Zastałem we Lwowie wiele znajomych z Polski. Chciano ich pocieszać i zabawiać, i oni przebytą trwogę, grożącą majątków utratę, cały stan swój niepewny, chcieli zapomnieć. Bawiono się więc, jak to mówią, do upadłego, i mnie przed przyjazdem jeszcze cześnika w wielki świat wprowadzono. Porwany w odmęt zabaw, tęskniłem za cześnikówną, żywiłem w sercu słodki jéj obraz, ale nie widziałem potrzeby usuwania się od towarzystwa. Przy napływie wielu osób, było i kobiet pięknych wiele. Wszystkie zaćmiła róża wschodu, Witowa, z cieśni seraju, jak utrzymywano, przez miłość uprowadzona na wolność. Używała swojéj wolności, miłości hołdowała, ale miłości żadnych nie znającéj więzów. Nie wiém czém zwróciłęm jéj oko na siebie, ale wlepione w nią wszystkie oczy zaraz to postrzegły i mnie winszowały albo zazdrościły. Nie myślałem z tego nowego szczęścia korzystać, ale mi pochlebiało; nie powstała we mnie chęć stania się cześnikównie niewiernym, ale nie można było przed światem grać roli świętoszka. Pędziłem więc po przybyciu cześnika w jego mieszkaniu najsłodsze chwile, alem je skracał pod różnémi pozorami, aby mnie na pokojach Witowéj widywano, a przyznać się do tego cześnikównie nie śmiałem.

Salony nowego metropolitalnego pałacu u ś. Jura napełnione były ciżbą, a w téj ciżbie cisnęło się co tylko Lwów mieścił znaczniejszego urodzeniem, majątkiem, światłem, zasługą albo pięknością. Gospodyni tych salonów, Kossakowska, kasztelanowa kamieńska, szanowna wiekiem i nienagannóm życiem, sławna dowcipem, sypała iskry pomysłów i odpowiedzi, ubranych często w pozór prostactwa i rubaszności, ale trafnych, bystrych, oryginalnych, godnych zachowania w pamięci. Rada była gościom, ale stopień grzecznego albo przyjacielskiego przyjęcia, stosowała do wartości wchodzących. Wiek, znaczenie, wziętość powszechna, dawały jéj prawo do śmiałego się wyrażania. Kto nie był godzien szacunku, choć wysoce urodzony, możny, bogaty, usłyszał z ust kasztelanowéj ucinek ostry i szedł wstyd swój ukrywać. Kto się chciał z nią zmierzyć w dowcipie, którego mu niebo nie dało, odnosił jedno słówko, podające go w śmieszność na zawsze.

Stałem za krzesłem Witowéj, która obrażona zimném kasztelanowéj przywitaniem, szukała na kogoby żółć swoją wywrzeć, gdy zacna matrona, kasztelanowa Ustrzycka,

wprowadziła po raz pierwszy cześnikównę. Świeża piękność zrobiła w całém zgromadzeniu wrażenie, szmer powszechny. Gospodyni uśmiéchnęła się do niéj miłe, mężczyźni zapomnieli o Witowéj i garnęli się około nowo przybyłéj. Oboje było dostateczném do wzniecenia gniewu i zazdrości w Greczynce. — »Któż to jest?« spytała mnie z przekąsem, i wymierzywszy na nią lorynetkę, dodała: »Jakiś wiejski czopek, źle ubrany, zmieszany. Niéma tu co admirować.« — Gniew mnie zapalił, ale z pięknością walczyć nie można. Drażnić jeszcze bardziéj Witowę, nie wypadało. Brzydka słabość, wstyd fałszywy, nie dała mi przyznać się że znam cześnikównę, ani zbliżyć się do niéj przez cały wieczór. Nazajutrz zastałem ją zapłakaną, wymawiała mi łagodnie ale z boleścią, żem ją w wielkim świecie znać nie chciał. Cześnik zdawał się więcéj zagniewanym, łowczanka się nie pokazała. Użyłem całéj zręczności i wymowy, aby tę chmurę rozpędzić. Wyznałem otwarcie winę — przysiągłem iż prócz zabawy inne mnie związki z Witową nie łączą; przysiągłem że i te zerwę natychmiast i już u niéj nie postanę. Zawierzono mojéj przysiędze, i jam w téj chwili wierzył że jéj dotrzymam.

Wychodzę od cześnika, spotykam Witowę jadącą paradnym zaprzęgiem. Zatrzymuje się, przywołuje, wzywa abym wsiadł i jechał z nią na przechadzkę. Wymawiam się; nie przyjmuje wymówek, zaczyna się niecierpliwić. Jakże tu spierać się na ulicy i robić z siebie widowisko? Chcąc z nią zerwać, trzeba zerwać grzecznie. Wsiadam zapomniawszy że cześnik i łowczanka ze swoich okien mogą mnie widzieć. Czułem wyrzuty sumienia, siedziałem zasępiony. Witowa na to nie zważając mówiła żywo i wesoło. Odpowiadałem obojętnie, powoli dałem się wciągnąć w rozmowę. Jeździliśmy parę godzin w różne strony. Wracając do miasta pędzimy żwawo przez ludne ulice, nie troszcząc się czy kogo rozjedziemy. Pienią się rumaki ale biegną. Stangret jedynie dla ściągnienia na się więcéj uwagi, trzasnął z bicza. Postrzegłem że komuś przechodzącemu przez nieostrożność strącił biczem czapkę, — oglądam się... to cześnik Grabowiecki! Ledwiem się wyrwał od Witowéj, spieszę do cześnika, chcę się wytłumaczyć, chcę na klęczkach błagać przebaczenia. — Niéma państwa w domu. — Powracam za godzinę, — jeszcze nie przyszli. Powracam wieczorem, świéci się w oknach, ale drzwi zamknięte, na moje stukanie nikt nie otwiéra. Przychodzę nazajutrz, odjechali ze Lwowa — dokąd? Nikt nie wié. Ślad ich zaginął. — Tracąc jedyne w świecie dobro, całą jego wartość poznawałem. Żal, a jeszcze więcéj złość na siebie, gorzkiemi zalała mnie łzami, ale duma we mnie także była obrażoną. Czułem w sercu miłość dla cześnikówny, więc nie miałem się za niewiernego. Urazę i karę nazwałem niesprawiedliwą. Nie chciałem wyjawić przed światem poniesionéj klęski. Łaska Witowéj nastręczała mi gotową zemstę. Niech się w ukryciu swojém dowié wieśniaczka, że za nią nie tęsknię, mówiłem do siebie. Nie czułem dla Witowéj miłości, alem ją przez próżność udawał. Wkrótcem się przekonał, że udanie było wzajemne, a okazywane mnie względy sidłami na kogo innego zastawionemi. Szczęsny Potocki dumne czoło ugiął był przed nią i otworzył jéj swoje skarby, ale Witowa chciała co innego. Aby się podroczyć, wyjechała do Lwowa; aby pokazać że nie stoi o dary, mnie ubogiego wystawiła mu za współzalotnika szczęśliwego. Lecz gdy nadeszły jego listy, gdy dał zaręczenie że ją rozwiedzie z Witem, sam rozwiedzie się z żoną, dwanaściorga dzieci matką, i uczyni ją wojewodziną ruską, niezliczonych dóbr panią, ja, bez ceremonii, bez szukania nawet pozornego powodu, poszedłem w odstawkę. Walka nierówna ze Szczęsnym więcéj naówczas w opinii wznosiła, jak przegrana w téj walce mogła poniżyć. Odmiana względów Witowéj, doznana już przez wielu, ani wstydziła, ani okrywała śmiésznością. Nie potrzebowałem się więc ukrywać ani wyjéżdżać ze Lwowa. Nie miałem téż dokąd się udać. Nie wiedziałem, co przedsięwziąć, nie miałem z czego żyć, ale to dobre były czasy, jeden zaprosił do swego mieszkania, drugi widząc potrzebnego przegrał do mnie umyślnie w karty, wielu miało stoły otwarte, — porwany więc wirem zabaw i szaleństw, kręciłem się w nim daléj, — nie tak wesoło jak

przed wojną i poznaniem cześnikówny. Przyznaję się że jéj pamięć długo mnie nie mogła opuścić, a z nią uwaga na przeszłość i przyszłość, religijne uczucia, niechęć do siebie, często się odzywały w głębi, alem się starał je przytłumiać.

II.

Mieszkali we Lwowie dobrzy ludzie, których imię muszę zamilczéć. Nazwę ich Edwardem i Maryją. Edward był synem znakomitego obywatela, który w rozruchach krajowych utracił majątek. Pamięć jego zasług trwała, a Edward był młodzieńcem tak ukształconym i tak dobrze się prowadził, że rodzice Maryi, ludzie bogaci ale podejrzanego szlachectwa, nic jego osobie do zarzucenia nie mając, widzieli dla siebie zaszczyt w połączeniu się z jego imieniem. Z układów majątkowych wynikło, że Edward miał przez lat 6 przestawać na dochodach w gotowiźnie, bo wieś dla Maryi przeznaczona, była w dzierzawie. To dogadzało jego upodobaniu siedzenia w mieście i zajmowania się naukami. Już się te 6 lat kończyły i Edward miał na wiosnę z żoną wynieść się na wieś. Maryja jeszcze na pensyi widując Edwarda, zajęła się dla niego uczuciem, które było pierwszą jéj miłością. Wziąwszy początki muzyki, śpiewu i rysunków, korzystała z pobytu w mieście, aby się w tych talentach wyćwiczyć. Témi i staraniem około dwojga dziatek zajęta, obcą była zabawom i wielkiemu światu, w którym dumne z urodzenia panie, pomimo imienia jakie nosiła po mężu, mogły czasem dać uczuć jéj nizki początek. Edward prawie ze szkół, w których z kolegami żył dobrze, a przynajmniéj prosto od swego cichego stolika, założonego papiérami i książkami, przeszedł do stanu małżeńskiego. — I on nie znał świata, nie odbył szkoły doświadczeń. — Z nauk szczególniéj się zajmował historyją, żył, że tak powiém, z bohatérami przeszłości, tak się przejął starożytną cnotą, że w nią wierzył i widział ją wszędzie. Nie obcował z ludźmi, nie znał ich, ale umiejąc Plutarcha prawie na pamięć, miał się za wielkiego znawcę ludzi. Wiedział, że są źli ludzie, występne żony, wyrodne matki, zdradliwi przyjaciele, ale te miał za fenomena tak rzadkie jak Pauzanias w Grecyi, jak dziewica Tarpejska w Rzymie. Kochał ludzi w ogólności i im wierzył, sądził o wszystkich według własnego serca, swoję żonę kochał do szaleństwa.

Polubił Edward moje obcowanie i zapraszał mnie do siebie. Maryja światowego człowieka z nieufnością przyjmowała. Bała się żebym jéj nie ośmiał, nie ogadał, a szczególnie żebym w złe towarzystwo nie wciągnął jéj męża, o którego była zazdrosną; więcéj mnie unikała jak zachęcała do częstego bywania. Widok ich zgodnego stadła przypominał mi to szczęście, którem sobie mógł był obiecywać z cześnikówną, i jednał im zrazu moją szczérą przychylność, — ale zkądże ta odraza i nieufność żony do człowieka, którego mąż przyjacielem nazywa? W niewinnéj myśli starałem się pozyskać u niéj więcéj ufności. Nie mógłem zataić głośnych w całym Lwowie miłostek z Witową, ale udając uzdrowionego z miłości na zawsze, mniéj wiadome wykroczenia moje i przestawanie z rozpustnymi ludźmi taiłem. Zamiar mój był jeszcze niewinnym i to udawanie miałem za niewinne, trzymałem na wodzy słowa i zdania, nie mówiłem téż źle o nikim. Zapusty się skończyły, niektóre osoby odjechały, zabaw ubyło i ja trawiąc coraz więcéj czasu u Edwarda, coraz wydawałem się stateczniejszym. Maryja tę udaną stateczność wzięła za poprawę a ciesząc się nią jak swojém dziełem, chciała mi wynagrodzić przyjaźnią. Ale przyjaźń dla serca rozdrażnionego gwałtownémi poruszeniami, jest jak mdły pokarm dla ciała nawykłego do gorących napojów, do ostrych i korzennych przypraw. Wiek mój i wiek Maryi nie były jeszcze tak od siebie dalekie, aby przyjaźń nasza nie miała granic swoich przekroczyć — i ja wprzód byłem za granicami, nimem się postrzegł. Sumienie czyniło mi wtedy wyrzuty. Zatruć szczęście dwojga ludzi poczciwych, ich szczérą i niepodejrzliwą przychylność niewdzięcznością odpłacić! Edward przy żonie i przyjacielu bez obawy spoczywa. Możnaż bezbronnego we śnie mordować? Edward bezbronny — ale Maryja ładna! I Maryja bezbronna — i Maryja mnie ma za dobrego i mego obcowania się nie lęka. Ja téż

im niechcę szczęścia i pokoju odebrać, — ja kocham Maryję, ale ona się o tém nie dowié. Jéj cnota, jéj pożycie, jéj sława, nie poniosą szkody. Będę ją kochać niekochany. Człowiek pałający wewnątrz a po wierzchu zimny, pan swoich uczuć samowładny, to bohatér! Bądźmy bohatérem! Jeźlibym miał kiedy słabnąć na siłach, jeźlibym przewidywał niebezpieczeństwo, mogę się każdego czasu oddalić; — pójdę w świat z utajoną raną, sam będę cierpiał, będę nieszczęśliwym, ale pokoju Maryi i Edwarda nie zmącę.

(Dokończenie nastąpi.)

Paź Wallensztajna.

Ciemna noc zaléga ziemię. Mroźnym wiatrem pędzone chmury gonią w fantastycznych grupach po niebie, cała natura spoczywa w grobowéj ciszy; wszystko nieme i puste, tylko przy gockiém zamkowém oknie stoi jakaś ponura, milcząca, wysoka postać, mierząc nocne niebo oczyma, — jestto książę frydlandski. Dał słowo cesarzowi wystawić w niedługim czasie potężne wojsko; wkrótce mają być spełnione jego sny młodocianie a on sam dzielną ręką ma chwycić w sprychy koła przeznaczeń i śmiało przewodzić losom. Jakże mu serce bije! Europa patrzy nań z natężonem oczekiwaniem; czuje on ważność tego wzroku, który pyta: wystąpiż on przed światem jako awanturniczy śmiałek, lub też imię jego ma zaświécić kiedyś w księdze dziejów jako imię czynnego, twórczego ducha? — Długo stoi zadumany, aż wreszcie wezbrane serce jego rozléwa się uczutemi myślami w te słowa: »Dzięki wam chmury, żeście mi zostawiły część nieba niezasłonioną; witajcie mi jasne gwiazdy, wy migotne obrazy losów moich; obym w was wpatrzony znalazł spokój dla tego burzliwego ducha, który mię bez spoczynku błąka po szérokich komnatach zamku! O, pozwólcie mi zajrzéć w tajemniczy przestwór przyszłości, rozjaśńcie mój wzrok, abym swobodnie i nieomylnie przejrzał jéj zawiłe koleje! Dotrzymaż mi czas następny, co mi terazniejszy schlebnie przyrzéka? Znajdęż nitkę, która mię z tego ciemnego wyprowadzi błędnika? O, jakby szkaradne potwory podrzéźniają mi się najbliższe chwile, nito urągając mojéj niemocy! Zdołamże ja — sam jeden — dokonać tego, nad czém tylu rozpacza — wystawięż liczne, potężne wojsko....? Lecz dość tych namysłów — precz odemnie zwątpienie! Nałożę więzy szczęściu, aby mi służyło; — nieszczęście daje się łatwo zatrwożyć i ustępuje żelaznéj woli; wyjdę z niém do walki; prawa siła męża nie łamie się tak łatwo, i w miarę przeszkód, jeszcze bardziéj rośnie!« — Tak, poczęści w głębokich myślach, poczęści cichemi słowy, dumał ów potężny mąż, — gdy oto razem uczuł mocne uderzenie po plecach. Przelękniony obejrzał się spieszno poza siebie — lecz nic nie ujrzał. Blada mara zabobonu przystąpiła lekkim, niedosłyszanym krokiem ku niemu, układła mu się trwożnie na piersiach i wcisnęła drżącą bojaźń w jego ponurą duszę. Ow mąż, który nieustraszono słuchał na polu bitew gromów działowych, zadrżał na jedno uderzenie. Wreszcie przychodzi do opamiętania, przebiega badawczém okiem salę, ale nic nie widzi; czujnie nadsłuchujące ucho słyszy tylko odtęt własnych stąpań; silnie natężone oko, widzi tylko starożytne obrazy przodków, które zdają się z ram swoich występować i groźném okiem nań patrzyć. Nadaremnie przegląda raz jeszcze wszystkie zakąty sali, — nakoniec wraca trwożnie do swych pokojów. Ale jakaż głucha samotność uczuł teraz w swéj duszy! Dreszcz przestrachu przenika go grobowym chłodem; wyzwał nieszczęście do walki — i uczuł teraz, że w téj walce ulegnie! I owe gwiazdy, które mu się niegdyś tak mile uśmiechały, patrzą teraz nań surowém, groźném okiem! Dręczący niepokój nie dozwala mu chwili snu przez noc całą. Ledwie zaświtał ranek, zwołuje służbę i mówi: »Ktokolwiek dopuścił się żartu ze mną téj nocy, niech wystąpi, daję mu w zakład rycérskie słowo moje, że mu się nic nie stanie, i owszem za wolne wyznanie dar odemnie otrzyma. Ale w niemém milczeniu stoi orszak dworu i spogląda zadziwiony na pana, nie mogąc sobie tajemniczych słów jego wytłumaczyć. Każe więc odejść służbie, przekonany, że to było przeznaczenie, które napomnieniem przemówiło: aby się nie rzucał w ten odmęt wypadków, w którychby zginąć musiał. Na próżno błaga go stroskana żona, naprożno strwożeni przyjaciele, aby im odkrył przyczynę swojego smutku i nieczynności, on głęboko w sobie chowa swą nocną tajemnicę i w ponurych marzeniach spędza dnie następujące. Gdy się to dzieje, jeden z paziów przybiega do astrologa Seni zmieszany i trwożny. Wyznaje z płaczem, iżto on był, który uderzył przez swawolę Wallensztajna. Przechodząc przez salę, postrzegł był kogoś przy oknie, a sądząc że to był który z służących, zakradł się przez pustotę ku niemu i uderzywszy go dość raźnie dłonią, wymknął się jednym skokiem ze sali. Teraz niewié co czynić; lęka się gniewu pańskiego i nie śmié wyznać co zrobił. Seni słucha

mowy drżącego młodziana i rzecze: »Dobrześ zaiste zrobił, żeś swéj sprawki nie wyznał. Słowo książęce zaręcza ci wprawdzie przebaczenie, lecz jego obrażona próżność, nigdyby ci tego całkiem nie zapomniała, i kto wié ażalibyś w poźniejszych czasach postępku swego żałować nie musiał! Zresztą jest on teraz, nie wiedzieć czemu, nadzwyczaj zniechęcony, a twoje wyznanie mogłoby przyjść w złą godzinę! Dla tego radzę ci milczéć.« Młodzian oddalił się radą mistrza uspokojony. Wkrótce potém kazał książę przywołać do siebie astrologa i tak mu rzecze: »Wezwałem cię do siebie, abyś w okropném położeniu, w jakiém się teraz znajduję, zasiągnął rady znaków niebieskich. Postanowiłem strumień mego żywota w nowe skierować łoże; nie cicho już i spokojnie ma on między samotnemi płynąć brzegami, ale toczyć się dziko, szumno i rwiąco, ciężkie brzemię państwa na swoich piersiach dźwigając. — Nie dawno temu, stałem właśnie nad tą przemianą zadumany, głęboko rozmyślając, czy mi ona na dobre wypadnie — gdy w téjże chwili od niewidoméj ręki uczułem uderzenie; — nie było żywéj duszy; sama tylko północna rzesza duchów mogła mię była w taki sposób napomnieć, — i to mi powodem, że chcę przedsięwziętego zamiaru mego zaniechać; nie wypada bowiem śmiertelnikowi oporne losy do walki wyzywać; nie na każdego Goliata znajdzie Dawid kamień!« Tém wyznaniem przerażony cofnął się Seni; napróżno chciał go od tych smutnych odwieść myśli; napróżno mu przedstawiał, jakby jego sława w obliczu świata na tém cierpiała, gdyby teraz z pola ustąpił; napróżno mu dowodził, na jakieby niebezpieczeństwo przez to rzeszę niemiecką i cesarza naraził; Wallensztajn trwał tak zacięcie w swoim zamiarze, że w końcu astrolog nie mógł już dłużéj milczéć, spokój Europy kazał mu wszystko odkryć, — wymienił pazia sprawcą. Wallensztajn osłupiał; oczy jego błysnęły wściekłym gniewem, pięści jego zwarły się z konwulsyjném natężeniem, całe jego wnętrze zawrzało szaloną burzą. »Co? Jako! Więcto uderzenie jednego wyrostka pozbawiało mię tak długo snu i spokoju; pusty wyrostek zdołał mię tak silnym przerazić przestrachem, żem chciał w obec całego świata z pola ustąpić, dane cesarzowi słowo odwołać, i utworzenia mu wojska zaniechać? O, wstydzie! Bohatér, który wzniósł swoję potężną prawicę aby zaburzony świat uspokoił! — a ręka jednego wyrostka — zdołała nim wstrząść i w niwec go obrócić? Jako? Jestże człowiek tak bardzo próżnym, że lada lekki szelest listka, który go w słabéj chwili przestraszy, już za objawiony wyrok duchów bierze? — Mógłże mnie, mężowi, rozpustny napad młokosa, wydać się uroczystym głosem przeznaczenia? — Każ go tu przywołać; niech tu natychmiast przedemną stanie.«

Na drugi dzień był paź na śmierć skazany. Ani prośby żony i przyjacioł, ani przypomnienie jego słowa niekarania sprawcy tego przestępstwa, ani wreszcie przedstawienia odpowiedzialności na jaką się narażał, — nic nie było w stanie gniewu jego uśmierzyć. »Ażali słyszeliście kiedy, aby Frydland raz wyrzeczone słowo kiedy odwołał? Być może, iż niesłusznie czynię że go zabić każę, lecz jużem tak raz postanowił i nie dopuszczę, aby ten chłopiec bezkarnie tę zuchwałość popełnił!«

Liczne grono służby i giermków stoi na zamkowym dziedzińcu i przypatruje się w ponurym smutku rusztowaniu, na którym nieszczęsny młodzieniec ma oddać życie! Widok biednego pazia, którego już na śmierć prowadzą, zmienił szemranie gniewu w bolesne westchnienie politowania; z nowém jednak oburzeniem wzmogło się szemranie, gdy teraz samże Wallensztajn wszedł z przybocznym orszakiem, chcąc być obecnym straceniu swéj ofiary. »Tyran —« rozchodzi się głos pomiędzy tłumem — »okrutnik, który się jeszcze chce pastwić śmiertelną męką nieszczęśliwego; nie, takiéj srogości nie przepuszczą nieba bezkarnie!« Jeszcze raz odzywają się niektórzy z prośbami za nieszczęśliwym, ale na grzmiące słowa książęcia wszelki głos uczucia litości uchodzi bojaźliwie w głąb piersi. Nieszczęsny młodzian wstępuje na rusztowanie; już go prowadzą na drabinę, za kilka chwil ma już zagasnąć promyk jego życia na wieki, — ale wtém rozlega się głos Wallensztajna, każe przyprowadzić chłopca przed siebie: »Nieszczęsny młodzieńcze,« mówi teraz do niego, »nie miałem ja zamiaru odbiérać ci życia, ale chciałem ci oddać przestrach za przestrach! I tyś uczuł teraz co to mieć śmiertelną trwogę w duszy, i twoje łono rozdziérała trawiąca rozpacz, i w twojéj piersi szérzył się jad niszczący wszelką nadziejność przyszłości, i wytępił w niéj poranne róże młodzieńczéj siły, — przygłuszył wesołe dźwięki twego swobodnego umysłu! To niechaj będzie karą twojéj lekkomyślności, która wywołała obrzydłe widmo bojaźni w mojém łonie, i niewysłowioną trwogą udręczyła moją duszę. Teraz staraj się odzyskać znowu swobodę twojéj młodości, jesteś wolny — i możesz, bogato obdarzony, odejść z tych miejsc na zawsze.«

Młodzieniec prawie bez przytomności padł do nóg Frydlanda.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* pod redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 30. i obejmuje: 1) O tegorocznym lwowskim jarmarku na wełnę i wystawie niektórych machin gospodarskich i pługów. 2) Pasza pomnażająca krowom mléko. 3) Doświadczenia ucznia instytutu hohenheimskiego. 4) O zatwardzeniu kału u koni. 5) Jak się suszą owoce we Francyi? 6) Sposób chowania kur. 7) Sposób prędkiego i dobrego utuczenia indyków. 8) Złotokwiat zwyczajny *(gelbe Wucherblume)*. 9) O dziele pana Wincentego Józefowicza: »Praktyczne nawodnienie łąk.« 10) O kongresie rolniczym w Paryżu. 11) Uwagi nad końmi pana Felixa Dzwonkowskiego na tegorocznych wyścigach galicyjskich.

Z Warszawy. *Przeglądu naukowego* Nr. 10. i 11. zawiera: O obowiązkach właścicieli ziemskich przez autora Filozofii ekonomii materyjalnéj ludzkiego społeczeństwa. — Młodzież i starsi, przez Łęczycanina. — Nauki (wstęp), przez prof. Walickiego. — Obrazek, poezyja, przez Karola Balińskiego. — Młodość moja i przejazdki po kraju, przez Mazura z Płockiego. — Kronika piśmiennicza polska. — Nowości.

Profesor Gruithuisen mówi »o zmianach powietrza na początku lipca« co następuje: Od trzech upłynionych miesięcy mało takich zmian na powierzchni słońca zaszło, któreby za każdym razem odpowiednio na ziemię skutkowały i porządkowemu postępowi rocznéj pogody przeszkadzały. Ztąd pochodzi ta dotychczasowa nadzwyczajna żyzność, któréj nawet teraźniejsze mokre powietrze zniweczyć nie może, ponieważ teraźniejsza bardzo wielka plama na słońcu, będąc jéj przyczyną, zniknie już po największéj części dnia 14. t. m. na zachodniéj krawędzi słońca, a przeto swój skutek wywiérać przestanie. Ale że ta plama jest największa ze wszystkich, jakie się od wielu lat postrzedz dały, przeto jéj wpływ będzie niemały i w różnych klimatach rozmaitym okaże się sposobem: tu dészczem, który zgęszczonémi wyziewami atmosferę oziębi, gdzieindziéj znowu parném powietrzem, i między niestałą a często bardzo wielką niepogodą, niekiedy dniem pięknym. Ale z tych wszystkich niestałych zmian, które się w porządkowy bieg powietrza przymieszają, ta pewność wynika, że powstanie wielkich plam słonecznych, meteorologiczny chemizm naszéj atmosfery w nieporządek wprowadzi i burz, gradów, powodzi, i wszystkich innych szkodliwych skutków stanie się przyczyną. Ztémwszystkiém nie życzmy sobie tego, aby na powierzchni słońca żadnéj zmiany nie było.

Zasady wychowawcze Czokego. Napisano stosy ksiąg o wychowaniu, a jestto przecie najprościejsza sztuka na świecie. Podobnie jak każda roślina, jak każde zwierzę, rozwija się i człowiek sam z siebie w taką istotę, jaką podług swoich zarodnych skłonności i zdolności stać się może. Kto zechce z niego zrobić więcéj lub co innego niż to, do czego natura go stworzyła, ten go nie wykształci bynajmniéj, lecz przekształci lub skarłowaci. Główném zadaniem każdego wychowującego powinna być jak największa staranność o usunięcie wszystkiego, coby tylko swobodne rozwijanie się młodocianéj istoty tamować albo wykrzywić mogło. Naśladownictwo, pamięć i siła wyobraźności budzą się najprzód w dziecięciu. Z téj przyczyny skłania się ono chętnie ku temu, czego otaczające przykłady go nauczają. Zepsute dzieci zepsuła najprzód sama przewrotność i niedbałość rodziców lub wychowawców. — Dzieci niemają ani grzéchu ani cnoty. Ztąd zowią je słusznie niewinnémi. Jak u wszystkich zwierząt, przyswojenia zdolnych, powinna i u nich zwierzęca natura ludzkiego ciała być najprzód uskromioną. Potém dopiéro zwraca wychowawca uwagę na stan umysłowy swojego wychowanka. Aby zaś ten stan umysłowy zachować od wszelkiego zepsucia, potrzeba fałsz i udawanie karcić jako najcięższe przestępstwa dziecinnego wieku. W moim domu nie pozwalałem nikomu, ani wżarcie nawet, kłamstwa dzieciom powiedzieć; przeto téż nie słyszały one i żadnych zabobonnych baśni. Kłamliwa czeladź była natychmiast oddalaną, a podobnie wzbraniałem téż dzieciom wszelkiego obcowania z rowieśnikami, których obyczajność sądziłem w czémkolwiek podejrzaną. Dla nabrania przedewszystkiém wytrwałéj samodzielności w zmianie swych przyszłych losów, musiały się moje chłopcy hartować od najwcześniejszego dziecięctwa, przyzwyczajać do pracy i niewygód, ubierać wprawdzie czysto ale ubogo, i sypiać w nocy na słomianych poduszkach, aż póki z rodzicielskiego domu nie wyszły.

Tolerancyja w Portugalii. Angielskie dzienniki donosiły niedawno, iż w Funchal na wyspie Madeira, została pewna Portugalka z powodu swego przestąpienia z katolickiego na anglikańskie wyznanie, na śmierć skazana. Lord-major edymburski udał się w tym względzie do angielskiego posła w Lisbonie, a pan Howard de Walden, przedstawił tę rzecz królowéj portugalskiéj. Ta jednak zapewniła posła natychmiast, iż wyrok zupełnego ułaskawienia już podpisany i w drodze do Funchal się znajduje. »Bądź wpan przekonany,« dodała donna Maria, »iż nigdy nie pozwolę, aby kto za swoje religijne zdania był w jakikolwiek sposób prześladowanym. Wolność wyznania jest i będzie zawsze w państwie portugalskiém nieograniczoną.«

Mistrz i uczeń. Grecki mowca Protagoras zawarł z swoim uczniem Evathus ugodę: iż, jeźli uczeń o tyle postąpi, że będzie mógł proces wygrać, mistrz w nagrodę zato otrzyma 600 śrebrników. Po skończonéj nauce zażądał Protagoras zapłaty, a gdy Evathus dać mu jéj niechciał, zapozwał nauczyciel swojego ucznia do sądu i rzekł mu: »Nierozsądny młodzieńcze, czyż niewiesz że w każdy sposób musisz przegrać swą sprawę. Jeżeli proces przegrasz, natenczas będziesz winien zapłacić mię podług wyroku prawa; jeźli zaś wygrasz tedy będziesz mi musiał zapłacić z téj przyczyny, iż warunek naszéj ugody jest dopełniony, ile że byłeś w stanie wygrać proces przed sądem.« — »Bynajmniéj,« odrzekł chytrzejszy jeszcze uczeń chytrego mistrza — »jeżeli przegram proces, natenczas, nic ci winnym nie będę, ponieważ stanie za dowód, iżem się jeszcze tyle nie nauczył, abym mógł wygrać proces. Jeźli zaś wygram, wtedy mię sam sąd od obowiązku zapłacenia ciebie uwolni.« — Co słysząc mądrzy sędziowie, uznali sprawę za trudną do rozstrzygnienia i rzekli tylko: »*Mali corvi malum ovum.*«

O nadzwyczajném zajmowaniu się francuzkiéj publiczności kryminalnémi sprawami świadczą najlepiéj środki, jakie oba paryzkie dzienniki »*la Presse*« i »*le Droit*« wspólnie przedsięwzięły, aby sobie pierwszeństwo w udzielaniu rozpraw procesu pani Lacoste zapewnić. Poczta listowa z zachodnio-południowych departamentów przybywa do Orleanu dopiéro późno wieczor, po odejściu ostatnich wozów na żelaznéj kolei. Administracyja obu pomienionych dzienników każe więc każdego wieczora wyprawiać swoim kosztem osobny wóz z Orleanu do Paryża, tak, iż doniesienia o dalszym ciągu procesu przybywają tamże w nocy, natychmiast się drukują i są już

rano w ręku prenumerantów. W taki sposób dochodzą korrespondencyje dzienników »la Presse« i »le Droit« tak prędko albo jeszcze i prędzéj niż poczta, a w téj saméj chwili gdy nadeszłe pocztą listy bywają rozdawane, udzielają już oba dzienniki swych drukowanych doniesień publiczności. Z polecenia tychże obu redakcyj wyjechało także dwu stenografów do Auch, gdzie słowo w słowo wszystkie rozprawy procesu zapisują.

Fabrykacyja obrazów w Rossyi. Rossyja ma 400 męzkich a 100 żeńskich klasztorów, około 100,000 cerkwi i blisko 60 millijonów mieszkańców. Wszystkie klasztory, cerkwie i rodziny mieszkańców muszą mieć obrazy świętych, czém więcej témci lepiej. Nawet najuboższy posiada przynajmniéj jeden taki obraz, a ściany cerkwiów są zupełnie niemi okryte. Skądże się te wszystkie obrazy biorą? Z klasztorów, a mianowicie z klasztorów żeńskich. Tu wszystkie zakonnice zacząwszy od ksieni do najmłodszéj nowicyjatki zajmują się malarstwem, stosując się do pewnego typu, od którego niewolno się im uchylić. Każdy święty musi mieć wychudłe ręce, twarz i nogi; więéj nie potrzeba nic do obrazu; resztę obrazu wypełnia złoto i srebro.

Żyd Wieczny p. Eugenijusza Sue powiększył o tyle liczbę abonentów *Constitutionnel*'a iż dnia 3. lipca musiał ten dziennik oświadczyć, że nie może swym nowym abonentom dostarczyć numerów z poprzedniego miesiąca, ponieważ wszystkie egzemplarze są już rozchwycone, i dopiero drugie wydanie w przeciągu dwu dni nastąpi.

Platinor. Złotnik Balzani w Wiedniu wynalazł nową metaliczną kompozycyję, zwaną platinor, która nadzwyczaj podobna jest do złota, tak, że najdoświadczeńszy znawca, bez chemicznéj analizy w żaden sposób nie może jéj odróżnić od prawdziwego złota. Platinorem można okrywać srebro i inne metale, a farba jego nie zmienia koloru i trzyma się przez lat kilka. Ma się rozumieć że platinor w wielu rzeczach z czasem zastąpi prawdziwe złoto, bo z powodu swéj taniéj ceny będzie przystępnym dla każdego niemajętnego człowieka. Wynalazca odebrał już mnóstwo obstalunków na rożne rzeczy z platinoru.

Handel owocowy w Belgii. Od czasu upowszechnienia parowej żeglugi zaopatruje Belgija wszystkie znaczniejsze miasta Anglii w owoce swoje. I tak donosi gazeta antwerpska iż 24. czerwca tego roku, 2000 funtów trześni do Anglii wywieziono a pewien handlarz owocami z Londynu zawarł z kilkoma gospodarzami tamtejszych okolic kontrakt o dostarczenie mu 100,000 funtów trześni, rachując funt po 2 *centimes*, czyli około 2 krajcary walutowe.

Tryjumf przebiegłości kobieciéj. Tegoroczna wystawa przemysłowa w Paryżu stała się na wiosnę powodem istotnéj wędrówki całéj ludności francuzkiéj do stolicy. Mianowicie pomiędzy kobietami miał panować niepojętny szał oglądania cudów Paryża, dać się wzajem oglądać i wzbudzić za swoim powrotem zazdrość tych wszystkich, które nie były równie szczęśliwe. Gdy się ta manija pomiędzy mieszkańcami pewnego małego miasteczka szerzyć zaczęła, postanowili tamtejsi małżonkowie zachować wierność swoich małżonek od tysięcznych pokus stolicy i uknuli w tym szlachetnym zamiarze bardzo dowcipny spisek. Podczas gdy wszystkie sąsiednie miasta wybrały się w drogę do Paryża, oni nie ruszyli się z miejsca. Mała ich mieścina nie miała żadnego fabrykanta ani mechanika, a przeto też żadnego udziału w wystawie przemysłowości. Małżonkowie przyrzekli sobie wzajemną pomoc przeciw zaślepieniu swoich małżonek, a dla tem większéj pewności, podpisał każdy z nich rewers, którym się obowiązywał, w razie niedotrzymania przyrzeczenia, złożyć pieniężną karę tysiąca franków. Najdzielniejszą siłą jest zgoda: małżonkowie tryjumfowali. Ile razy która żona o podróży do Paryża wspomniała, odpowiadano jéj natychmiast: »Teraz stolica przepełniona cudzoziemcami, i pora nie jest po temu. Zresztą nikt z naszego miasteczka tam nie jedzie, nie możemy robić wyjątku; nie wypada bowiem czynić, czego inni nie czynią. Gdyby kto jeszcze początek zrobił, natenczasby to uszło; i przyrzekam ci święcie, że skoro tylko który małżonek zawiezie swą żonę do Paryża i ja cię tam zawiozę.« Tym sposobem wymawiali się wszyscy i myśleli że już byli zwycięzcami; ale gdzie podstępem wojować trzeba, tam zawsze bywały zwycięzcami — kobiety. Postrzegły się one zaraz iż tu jakiś niegodziwy spisek przeciw nim uknuwano, i spiknęły się nawzajem przeciw swoim małżonkom. Chodziło tylko oto, aby jedna pokonała trudności które się téj podróży opierały. Pisarzowi romansów albo poecie teatralnemu byłoby zapewne trudno było wynaleźć taki wojenny podstęp, ale w całym spisku niewieścim nie było ani jednéj literatki, a pożądany sposób został na jednem zgromadzeniu wymyślony. Pewna przystojna brunetka postanowiła poświęcić się dla ogólnego dobra. Miała ona bardzo zazdrosnego męża, z czego rozsądna żona umié zawsze korzystać. Sprzysiężony klub niewiast napisał mistrzowski list, mający niby pochodzić od jakiegoś dawnego kochanka ładnéj brunetki, który w nim namiętnie o swoich zniweczonych, lecz zawsze jeszcze w piersiach jego żyjących nadziejach prawił. »Udaję się do Afryki,« mówił u spodu czwartéj kartki, »tam w walce z Kabylami znajdę może koniec mych cierpień. Ale wprzódy muszę się widzieć z tobą, pożegnać cię — na wieki. Pozostaje mi tylko czternaście dni do wyjazdu; cały ten czas przepędzę w miejscu twego mieszkania.« Na końcu znajdowała się szumna tyrada, która lubo nie kompromitowała przeszłości, wielkiém jednak niebezpieczeństwem groziła bliskiéj przyszłości. Ułożono wszystko tak zgrabnie, iż list istotnie wpadł piérwéj w ręce męża, nim go żona odebrać mogła. Stało się wszystko jak przewidziała. Przejęty śmiertelną trwogą małżonek, postanowił — uciekać. Najbezpieczniejszém schronieniem był nieprzejrzany Paryż. Musiał wprawdzie oprócz kosztów podróży zapłacić jeszcze wyznaczoną karę pieniężną, — ale jeżli już trzeba było koniecznie jaką podróż dla rozrywki przedsiębrać, nie można było wyjechać dokąd indąd jak do Paryża, a jako filozof, wybrał z dwojga złego pomniejsze. Pojechał zatem ze swoją ładną brunetką do strasznego Babylonu. Dla uzupełnienia zaś tego kobiecego tryjumfu wypada dodać, iż zaledwie nasz zazdrośny małżonek stanął w Paryżu, zdybał się natychmiast ze wszystkimi swoimi towarzyszami spisku i ich tryjumfującemi żonami. Cała zatém ugoda została zniweczona; wszyscy stypulanci byli winni złożyć karę pieniężną, a przeto wzajemnie się skwitowali.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Frańciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.